

665 Zabawa jak się patrzy

Każde dziecko wie, że operę komiczną pod tytułem „Don Pasquale” skomponował Gaetano Donizetti. Któż by natomiast myślał o autorze libretta? Nie myśli się o tym, gdyż w większości przypadków libretta operowe nie są dziełami o wysokich walorach artystycznych. O libretcie musi jednak myśleć reżyser operowy. Musi kombinować, jak tu z ramotki zrobić coś pod względem scenicznym sensownego. Uaniata więc tę wątłą materię fabularną, nie szczędząc wysiłków i pomysłów. Chwała mu za to.

Duży zasób inwencji reżyserkiej miałem sposobność zauważyć podczas premiery „Don Pasquale” 30 listopada w Operze Poznańskiej. Przewoźne, że autorem libretta jest Michele Accursi. Pani reżyserka zrobiła naprawdę wszystko, żeby sztuka była jeszcze zabawniejsza, niż została pomyślana. Spojrzała ironicznym okiem na dzieło i eokke, która jej wydała. W rezultacie było z czego się pośmiać. Stonowane, ładne kolory efektownych kostiumów, śliczny pałacyk zbudowany w stylu nieco surrealistycznym, mnóstwo barwnych ruchomych figurerek oraz inne akcesoria wspaniale działały z koncepcją reżyserką na tyle skutecznie, by wypędzić z widzów troski codzienne i zanurzyć ich po uszy włącznie, w rozkoszach rozrywki.

Sukces to tym większy, że inscenizatorzy mieli do dyspozycji fa-

bulkę, która w streszczeniu sprawdza się do tego, że młody, lecz bez grosza przy duszy siostrzeniec starego wuja-sknera kocha się bez pamięci w uroczej, lecz też ubogiej dziewczeczce. Wuj młodzienszka wydziedzicza, a bez pieniędzy, jak wiadomo, żenić się nie ma po co... Zyczyliwym młodym doktor snuje więc intrygę (czym to się ci medycy nie zajmowali!), w wyniku której wszyscy „kiwają” starego kutwę. Tenże zmaltretowany psychicznie i autentycznie skopany kapitułują wreszcie i zgadzają się na ślub młodych, czyniąc ich, chcąc nie chcąc, swoimi spadkobiercami. Śmieszne i pouczające: dobrze tak wujowi, bo sam chciał się żenić, a innym utrudniał.

W tych czasach (oj, dawno to było!) ubodzy i zakochani młodzieńcy bywali z reguły sentymentalni. Cecha ta nie przystawała jednak do ogólnej koncepcji inscenizacyjnej, więc została przekreślona takimi kapitalnymi scenami, jak np. ta: wydziedziczony Ernesto żegna dom wuja rzewną pieśnią, a w tym czasie służba robi mu tobołek na drogę, pakując do obrusa chleb, buty, sznur kłobasek i ciepłe kałesony. Salwom śmiechu nie było końca. Brak mi miejsca na opisanie innych, podobnie zabawnych scenek, których było w bród.

Byłoby mało prawdopodobne, żeby przy takiej ilości dobrego nie znalazło się to i owo do zganienia. Zatem dla równowagi — trochę o minusach. Mówiłem dotąd o librecie. Jakby zapominając, że „Don Pasquale” egzystuje na scenie wyłącznie dzięki Donizettiemu, który do tekstu Accursiego dopisał muzykę. Tę zaś trudno ująć w słowa, ale kiedy się ją słyszy, staje się jasne, że wyłącznie jej trzeba przypisać nieustające powodzenie tej najwybitniejszej opery Donizettiego. Chcąc poddać się urokom dźwiękowej warstwy dzieła, dobrze jest od czasu do czasu przytknąć oczy. Przymrużenie jednego nie wystarczy, by pozbyć się świadomości dystansu. Jaki w poznańskiej inscenizacji „Don Pasquale” dziełli ów niedościgniony wzór szlachetnego belcanta od tego, co się akurat dzieje na scenie.

Kiedy słucham i patrzę, rodzą się wątpliwości. Jeśli na przykład mogę uznać wyśpiewującego sentymentalne arie Ernesta za nieporadnego fajtlapę, to jednak trudno mi pojąć gdzie dopatrzono się w tej postaci cech sybaryty, chłwie wachającego zupkę (i po co ta zupka?!), czy pospolitego pijaczyny? Komu wreszcie potrzebne było ubranie i uczesanie czulego sechanka na niewydarzonego osobnika (na kretyńka?!), przy któ-

rym wuj staruszek wydawał się łwem salonowym?

Czy pomyślano o tym, że osiągnięte za wszelką cenę efekty sceniczne mogą zakłócić spokój potrzebny do wsluchania się w owe lśniące niepowtarzalnym blaskiem arie, w te wszystkie subtelności mistrzowskich konstrukcji duetów, tercetów, sekstetów, od czego odwracał uwagę zbędny w pewnych momentach ruch na scenie? Przeciwno muzyce wymierzone do stałego przemieszczania się chóru, które utrudniało śpiewakom wzajemne słyszenie się.

Ale dość pretensji. W końcu nie pierwszy i chyba nie ostatni raz inscenizacja operowe skłaniają mnie do wygłaszania jeremiad nad zagubieniem tego, czym opera stoi. Zacytuję lepiej tak! oto „złotą myśl”, którą znalazłem w wydanym z okazji premiery „Don Pasquale” programie: „Nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu widzów, zajmujących trzy pierwsze rzędy w salach operowych, wpuszcza się z instrumentami muzycznymi”. Czy autor tej wypowiedzi — Alfred Jarry nie był przypadkiem również reżyserem?

Dobłą stroną przedstawienia był śpiew solistów. Pod tym względem cała obsada dobrana była świetnie: rolę Noriny śpiewała wypróbowana w tego typu partiach wokalnych Krystyna Pakulska; Don Pasqualem był znakomity bar. Andrzej Kizewetter; skomponowana z wyjątkową maestrią partię Ernesta odtworzył Edwin Borkowski, wykazując się godną uwagi wrażliwością muzyczną; przyleganie brzmiał również bariton Mariana Kondelli w roli Doktora Malatesty. Jedyne Władysławowi Wdowickiemu nie dano się wyśpiewać w roli Notariusza. W sumie dobrego śpiewu było sporo, a to przecież najważniejsze.

Wiadomo jednak, że na ogół wrażenia wizualne trafiają do świadomości odbiorcy z większą siłą i łatwością, niż np. abstrakcyjna, więc nie dość uchwytna, materia dźwiękowa. W poznańskim przedstawieniu oba te źródła doznań działają właściwie niezależnie od siebie: inscenizacja — chyba ciekawa — libretta Accursiego i bez wątpienia dobrze wykonana muzyka Donizettiego. Dla tego na „Don Pasquale” trzeba dość koniecznie dwukrotnie: raz, żeby zobaczyć, drugi raz — posłuchać.

ANDRZEJ SATURNA

„Don Pasquale” opera komiczna Gaetano Donizettiego, libretto Michele Accursi, kierownictwo muzyczne: Edwin Kowalski, reżyseria: Maria Straszewska, scenografia: Andrzej Markowicz, plastyka ruchu: Barbara Kasprovicz, przygotowanie chóru: Henryk Górski